

Jakub Poświętny

Pies

Znów go zobaczył.

Mężczyzna siedział na stopniu betonowych schodów prowadzących do małej, drewnianej chatki. Mieszkał w niej od czterdziestu lat.

Pies go nie zauważył. Instynkt kazał mu jednak skradnąć się najciszej jak potrafił. Mewa spała w budzie. Była już stara i przygłucha, więc nie była przydatna, ale co miał z nią zrobić?

Obcy pies podszedł do jej miski i, podnosząc co chwilę głowę, wyjadał jedzenie. Wylizal wszystko do cna i, porzucając wszelkie pozory, pobiegł w stronę ulicy.

Mężczyzna nie wiedział, co o tym myśleć. Kochał wszystkie psy. Nawet te, które atakowały go w dzieciństwie. Zawsze wierzył, że agresja u psa to wyłącznie wina jego właściciela. Jego psy nigdy nie zrobiły nikomu krzywdy.

Pieniądzy po spłaceniu rat ledwo wystarczało na podstawowe rzeczy, a Mewa dostawała marne resztki. Nie mógł przygarnąć kolejnego psa. Przez kilka dni odganiał intruza i czekał, aż suka skończy jeść, ale ona nigdy nie dojadła do końca, więc i tak później stał w oknie i widział, jak czarny kundel wbiega na podwórko i scenariusz się powtarza. Wieczorem Mewa wychodziła z budy i bez skutku szukała jedzenia. Mężczyzna dzielił się z nią swoją kolacją, ale później nie mógł zasnąć, bo burczało mu w brzuchu. Latem poszedłby do ogródka i zjadł marchewkę albo chociaż listki szczawiu. Ale była zima i w ogródku została tylko pietruszka.

Był początek grudnia i mógł zrobić już tylko jedno zakupy – na świąteczny obiad dla córki i jej męża. Mieli w końcu przyjechać i pokazać zdjęcia, jak się urządzili w mieście. Zapraszali do siebie, ale nie robili tego zbyt przekonująco, więc wyczuł, że z jakiegoś powodu nie chcą go tam.

Bolało.

Zjadł śniadanie i miał zamiar wynieść jedzenie dla Mewy, ale pomyślał, że wpuści ją do domu i poczeka, aż zje. Gdy zaczęła z ociąganiem, usłyszał skrobanie. Wyjrzał przez okno w kuchni, które wychodziło na schody wejściowe, i zobaczył, że Intruz drapie w drzwi i zdziera farbę, której i tak nie było już dużo. Mężczyzna stukał w szybę i krzyczał na niego, ale nic to nie dało. Pobiegł do drzwi

i gdy je otworzył, zamachnął się nogą, żeby w nagłym szale kopnąć, ale pies już czmychnął.

Później dręczyły go wyrzuty sumienia, że był gotów kopnąć zwierzę. Chciał to jakoś naprawić i następnego dnia odpuszcił sobie obiad.

Dziwne, że zostało w nim to uczucie. Krępował się, gdy robił coś odbiegającego od normy i rutyny. Zostało mu to po wiecznych uwagach ojca, który na każdy jego ruch reagował wtrąceniem: „Gdzie to niesiesz? Co robisz? Gdzie idziesz? Po co ci to?”...

Gdy niósł teraz ten garnek z jedzeniem dla psa, starał się to zrobić jak najszybciej, żeby nie usłyszeć żadnego komentarza. Ale mógłby usłyszeć go tylko w swojej głowie, bo przecież ojca już od dawna nie było. Postawił garnek blisko podwórkowej bramy. Pies na pewno od razu go zauważył.

Mężczyzna siedział w oknie i czekał. Nie minęło dużo czasu, a Intruz pojawił się i początkowo zdziwiony, ale po chwili już pewny, że to nie może być podstęp, pożarł wszystko i wylizal garnek. Poczul się pewniej i usiadł niedaleko schodów do domu.

Do garnka wlał wodę i wysypał trochę soli. Gdy się zagołowała, wrzucił dwie łyżki smalcu i mieszał, aż tłuszcz się rozpuścił. Przełał zawartość garnka do miski i dodał pokruszony czerstwy chleb. Obiad. To samo dał psom, bo od kilku dni karmił oba. Nie najadł się – brzuch nadal wydawał żalose dzwięki. Na razie musiało jednak wystarczyć.

Wyszedł na podwórko i zabrał się do wyrzucania obornika z chlewów. Miał dwie krowy, które stały w oddzielnych pomieszczeniach. Co dwa dni wrzucał im słomę, żeby miały suche posłanie. Słoma pęczniała od moczu zwierząt i mieszała się z odchodami. Tworzyła się z tego zbita i ciężka masa, którą z trudem wrywał widłami i wyrzucał na gołą ziemię. Wokół stert gnoju robiło się błoto i niełatwo wysychało nawet podczas suszy.

Jeśli się zastanowić, to życie na wsi najlepiej opisują słowa: błoto i gówno. Nigdy ich tutaj nie zabraknie.

Brodził w tym błocie dzień po dniu, nosząc zwierzętom paszę i wodę. Wracał zmęczony i głodny, a na schodach przypominał sobie, że czeka go kolejny marny posiłek.



Klaudia Bonćdar / PLSP w Supraśl



W ostatnią niedzielę przed świętami udał się do kościoła. Nałożył najlepsze ubranie i wyczyścił buty. Prezentował się nie najgorzej, ale na miejscu jak zwykle poczuł się obco. Nie wiedział, po co właściwie tam chodził, i robił to coraz rzadziej.

Ksiądz znów mówił tak, że mężczyzna nic nie zrozumiał, ale od jakiegoś czasu wiedział, że to nie jego wina, bo to z kapłanem musiało być coś nie tak.

Sąsiad mówił, że od jakiegoś czasu ksiądz zamyka się na plebanii i nikogo nie wpuszcza. Podczas mszy gada dużo o pieniądzach i każe je wpłacać na parafialne konto, ale gdy ktoś po mszy chce go o coś zapytać, to macha ręką i odchodzi.

Mężczyzna pomyślał, że niedługo wywiozą duchownego z wioski na taczkach, bo mało kto wytrzymuje lekceważenie.

Kilka dni przed świętami skończyły się pieniądze.

Udał się jednak do sklepu z tymi odłożonymi na uroczysty obiad. Nie umiał gotować, ale kilka tygodni wcześniej zobaczył na drzwiach sklepu ogłoszenie, w którym wyczytał, że może zamówić gotowe potrawy.

Wykosztował się, ale było warto: smażony ryż, ziemniaki, dwa rodzaje ryby, sałatka i dziwne, małe kotlety z wieprzowiny. Miało być dla trzech osób, ale wydawało mu się, że i z dziesięć by się najadło. Musiał to tylko podgrzać.

Idąc z ciężkimi reklamówkami, uświadomił sobie, że od tygodnia nie jadł nic porządnego. Jego posiłki ograniczały się ostatnio do ciepłej słonej wody i suchego chleba. Wypijał też pół kubka mleka, a resztę oddawał psom. Do jego nosa dochodził zapach potraw. Brzuch znów wydawał żalosalne dźwięki i mężczyzna poczuł mdłości. Z trudem doniósł zakupy do domu. Z takim samym trudem zajmował się w ostatnich dniach zwierzętami. Po przebudzeniu długo leżał w łóżku i nie mógł znaleźć w sobie siły, żeby wstać, ale wiedział, że jego krowy są od niego zależne, i w końcu chwiejnym krokiem szedł je nakarmić i wydoić.

Nie miał lodówki, ale jeden pokój w jego domu był nieogrzewany i trzymał w nim żywność, która mogłaby się popsuć.

Zaniósł tam reklamówki, ale brzuch znów się odezwał. Mężczyzna pomyślał: „Może spróbuję tych ziemniaków.

I tak jest ich sporo, więc kilka mogę zjeść”. Przyniósł z kuchni talerz i widelec. Nałożył ziemniaków i po chwili wahania dołożył jeszcze kawałek ryby.

Zaczął jeść i nie mógł uwierzyć, że jedzenie może być tak dobre. Przeżuwał powoli i delektował się chrupiącą skórką ryby i pachnącymi przyprawami, w których obtoczono ziemniaki.

Czuł się coraz lepiej. Miał wrażenie, że wracają mu siły. Przelykał jeden z ostatnich kawałków i nagle zdało mu się, że światło przed oczami gaśnie. Głowa bezwładnie zaczęła lecieć w bok i osunął się na podłogę. Zemdlął.

W całkowitym roztargnieniu, wchodząc do domu, nie domknął drzwi. Zostawił też otwarte te do spiżarki.

Mewa przyzwyczała się do spania w domu i tego dnia również leżała przy piecu, ale obudziła się na hałas, którego narobił spadający na podłogę pan. Zaczęła skomleć i lizać go po twarzy.

Intruz był wtedy na podwórku, wbiegł po schodach i lekkim pchnięciem otworzył drzwi. Popatrzył na Mewę i podszedł do leżącego człowieka. Szturchnął go pyskiem i liznął po twarzy.

Poczuł jednak zapach jedzenia i zaczął węszyć.

Wszedł do spiżarki. Reklamówki leżały na niskim stole. Ściągnął tę z rybą i rozdarł folię.

Mężczyzna ocknął się i nie rozumiał, dlaczego leży na podłodze. Kręciło mu się w głowie i dłuższą chwilę próbował sobie przypomnieć, co się stało. Rozejrzał się po kuchni i zobaczył skrawki reklamówek i to, co zostało z jedzenia.

Wstał i dostrzegł otwarte drzwi. Gdy już zrozumiał, poczuł coś. Nie wiedział, czy jest to do końca złość, bo sporo w tym było rozczarowania i rezygnacji.

Ocecił straty. Ziemniaki i ryż były praktycznie nieruszone, ale z mięsa nic nie zostało.

Wychodząc na podwórko, chwycił toporek, którym kiedyś rąbał świńskie tusze.

Wiedział, że to nie Mewa, ale i tak przechodząc obok jej budy, poczuł, że mógłby. Mógłby zamachnąć się i nawet bez wielkiego wysiłku zadać... Ale nie.

Intruz siedział przy bramie. Ze sporej odległości było widać, że się przejadł. Brzuch wyglądał, jakby spuchł. Pies nawet nie miał zamiaru uciekać.

Mężczyzna podszedł do niego, chwycił za sierść i pociągnął w stronę domu. Pies zaczął protestować, ale nie dał rady się uwolnić. Próbował gryźć i głośno skomlał.

Mężczyzna zamachnął się, a promienie słońca odbiły się w ostrzu toporka.

I znów zgasło światło.

Ale tym razem nie ocknął się tam, gdzie upadł. Właściwie to nie miał pewności, czy upadł, ale wiedział, że leży w swoim łóżku, bo zanim otworzył oczy, poczuł chłodny dotyk kołdry. Nie spał dobrze. Dręczyło go, że córka z mężem przyjedzie i nie będzie obiadu. Może coś przewiozą, ale to przecież taki wstyd... Teraz już na pewno go nie zaproszą, ale oby pokazali te zdjęcia.

Poczuł dziwny zapach. Odruchowo odgarnął kołdrę i zobaczył, że jego ręce są brudne. Obie dłonie pokrywała zaschnięta krew. Poczuł wstręt. Pobiegł do kuchni i odkręcił kran. Długo mył ręce, ale wciąż były zaczerwienione.

Przez jego głowę przebiegały różne myśli. Nie miał pewności co do kolejności wydarzeń. Pamiętał toporek i zamach, ale nie wiedział, co było dalej.

Zabił?

Nagle usłyszał donośny głos.

– Dooobry!

Wyjrzał przez okno i zobaczył listonosza. Wytarł ręce i gdy wyszedł na zewnątrz, starał się je trzymać w kieszeniach.

– O panie, a co tutaj się stało? – Przybysz patrzył na niewielkie plamy krwi.

Spanikował. Bał się, że nie wydusi z siebie słowa. Nie chciał, żeby się rozniosło, że gania psy z toporkiem.

Starał się zabrzmieć jak najnaturalniej.

– Psy się gryzły. W ostatniej chwili rozgoniłem.

Listonosz nadal patrzył i kręcił głową.

– A to ci dopiero... ale ja tu z listem do pana. – Podał mężczyźnie małą, białą kopertę. Postać chwilę i wydawało się, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale w końcu pożegnał się i poszedł.

Mężczyzna wrócił do domu, nie odrywając wzroku od koperty. Widniało na niej imię jego córki, ale nazwisko miała już po mężu.

Nie był na ślubie. Córka kiedyś w złości powiedziała, że wszyscy znajomi i rodzina męża myślą, że jej ojciec nie żyje.

W kopercie znalazł krótki list. Córka informowała, że nie przyjadą, bo nie chcą robić mu kłopotu. Dziękowała za pożyczkę i chciała powiadomić, że już uzbierali na spłatę i pieniądze czekają na niego w banku. Nie myślał o tym jak o pożyczce. Zadłużył się, dał córce pieniądze i jakoś musiał sobie radzić, ale ona najwyraźniej inaczej na to patrzyła.

List był suchy. Żadnych życzeń świątecznych ani niczego w tym rodzaju.

Znów wyszedł na zewnątrz. Chciał zebrać myśli. Nagle zobaczył, że przy stodole coś leży. Serce zabiło mu szybciej i pobiegł w tamtą stronę.

Intruz.

Myślał, że patrzy na zwłoki psa, ale zauważył, że oddycha. Pochylił się nad nim i zobaczył ranę. Znów poczuł wstręt, ale tym razem do siebie samego. Brzydził się sobą.

Pies podniósł łeb i zmęczonym wzrokiem popatrzył na człowieka. Zaczął lizać ranę.

JAKUB POŚWIĄTNY

– urodzony pod koniec 1996 r. w Bielsku Podlaskim. Z zamiłowania muzyk i czytelnik. Z wykształcenia kucharz.

W swoich próbach literackich, za pomocą zagubionych i skrzywdzonych bohaterów, ukazuje różnorodności w życiu wiejskim i ujawnia jego aspekty, które zwykle pozostają niewidoczne dla społeczeństwa. Podlaska wieś nie jest tym, czym się wydaje.



foto. Zuzanna Święcka